№ 40.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. $11^1/_4$, oraz za opakowanie i ekspedycję kop $33^3/_4$). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Warszawa, dnia 22 Września (4 Października) 1871 roku.

TREŚĆ: August Wilkoński, życiorys (dokończenie).—Sulamita, (dramat wschodni w pieśniach) przez *Bogumiła Aspisa* (ciąg dalszy). Manfred w Alpach (z drzeworytem). Z Kroniki Naukowéj, przez *W. Niewiadomskiego* (dokończenie). — Obrazy Dagestanu, przez *R. Klonowskiego* (ciąg dalszy). — Druga miłość, powieść *Julji Kavanagh* tłómaczenie *W. Bartkiewicza* (ciąg dalszy).—Nowiny.— Od dozorującego nad koszem Redakcyi. —Szkice charakterystyczne.



MANFRED W ALPACH. (str. 315)

AUGUST WILKOŃSKI.

(*Dokończenie*).

Nie wiadomo, czy Wilkoński przybywszy do Warszawy w r. 1840, przywiózł z sobą ze wsi wielki zasób świeżości umysłu i dowcipu, czy też go różne troski powszedniego życia ostudziły nieco z czasém, albowiem najlepsze swoje Ramotki i największą ich liczbę napisał w ciągu pierwszych lat paru; wprawdzie i później znowu, po pewnym jakby letargu, na nowo z wielkim często dowcipem pisać rozpoczynał, zawsze jednak nie dorównał już nigdy początkom swojego w tutejszéj arenie literackiéj debiutu. Ramotka ozdobna później nawet illustracyą p. t. „Przypadek, który na własne oczy widziałem, wistocie mały, wielkiego jednak wstydu narobił“ jakkolwiek z ogromnym napisana dowcipem i humorem, nie ma już, równie jak wszystkie inne, téj natchnionéj werwy i sympatycznego uroku, jakie, że tak powiemy, pienią się i przelewają z „Mówki pogrzebowéj“ i „Wspomnienia szkolnego.“ Już to Wilkoński, pomimo pozornéj łatwości stylu, nie posiadał go na zawołanie — owszem, pisząc każdy swój utwor, wiele bardzo przekréślał i poprawiał, tak że każda z tych na oko leciuchnych jego ramotek, starannie i moralnie nawet wpiérw opracowaną była.

Wilkoński, oprócz Trypplina, był może jedynym w Warszawie autorem, który egzemplarze swoich dzieł na tysiące drukował, a co dziwniejsza, sprzedawał. Jednakże nie miał on z tego zbyt wielkich korzyści, albowiem w ciągłéj znajdując się potrzebie, nękany natarczywością współwyznawców Jankla Magenfisza, sprzedawał on całe partye kompletnéj edycyi swoich Ramotek po cenach niesłychanie nizkich — więc też głównym jego zyskiem były pieniądze osiągnięte z prenumeraty, które jednakże jako nadchodzące częściami — rozchodziły się też prędko, zwłaszcza że ś. p. Chirurg filozofii był najuczynniejszym i najlepszego serca człowiekiém, a mając pełną kieszeń, natychmiast ją wypróżniał, bądź częstując i ugoszczając przyjaciół, bądź dzieląc się z uboższą literacką drużyną.

W towarzystwie Wilkoński był prawie zawsze wesołym i wszędzie przynosił z sobą to serdeczne ciepło prawdziwego dowcipu, które odrazu potrafi ogrzać nawet chłodną atmosferę towarzyską.

Dowcip Wilkońskiego tak w piórze jak w rozmowie, miał, jak to już powiedzieliśmy, często miejscową cechę — człowiek ten, zakuty w ciasne pęta ustawicznéj potrzeby, miał jednakże zawsze, jakby na zawołanie, coś takiego w ustach, co do serdecznéj wesołości pobudzało obecnych — a jakkolwiek nie zaliczamy go do olbrzymów literackich, powiemy jednak, że poniekąd — w pewnych danych ramach, był nie z ducha może, ale z usposobienia, w prostéj linii potomkiem Reja z Nagłowic i Krasickiego, tak jak n. p. nieboszczyk Stanisław Bogusławski, był potomkiem hr. Aleksandra Fredry.

Krótką była działalność literacka sympatycznego Chirurga filozofii: w roku 1847 już on ociężał nieco, a gdy w lat parę późniéj mianowicie zaś w roku 1851 spotkaliśmy się zbiegiém okoliczności w pewném miasteczku, gdzieśmy przepędzili długi czas pospołu — nie rozłączając się prawie, już ów wesoły niegdyś i zawsze tak słodko uprzejmy humorysta, miewał chwilę bolesnego zwątpienia i jakiegoś chorobliwego rozdrażnienia. Pamiętam jednak, że i tam jeszcze, jakkolwiek okoliczności i miejscowość sama niezbyt do wesołości usposabiały, Wilkoński w coraz rzadszych przystępach dobrego humoru, opowiadał nam plany swoich Pokrzyw literackich, lub też deklamował sceny z tragedyj starożytnych, za dwie osoby odrazu, zmieniając głos i przeskakując z jednego na drugie miejsce.

Tam to również miało miejsce prawdziwie humorystyczne „qui pro quo;“ albowiem, gdy po śmierci ówczesnego arcybiskupa gnieźnieńskiego, zawiadomiono urzędownie Wilkońskiego, iż jest spadkobiercą ogromnéj pozostałéj po nim fortuny — wonczas żydostwo i wszelkiego rodzaju kupiectwo z całego miasteczka, nie domyślając się, że wiadomość owa była tylko prawie formalnością prawną i że do téj ogromnéj istotnie sukcessyi—najprzód ćma wierzycieli, a potém dopiéro liczni do nieskończoności krewni, mieli jedni pierwsze, drudzy zaś takież same jak Wilkoński prawa — ofiarowali gwałtem prawie zacnemu i podówczas gołemu jak święty turecki, Chirurgowi filozofii, kredyt nieograniczony. Prawda że Wilkoński wiedziony uczuciem sumienności, nie wielce z tych offert skorzystał — przyjmując tylko żołądkowe i gardlane, dla ugoszczenia kolegów towary, zawsze jednak wynikły z tąd sytuacye istotnie arcyzabawne. W m. Sierpniu roku 1851, rozstawszy się z Wilkońskim, jużeśmy go nie spotkali później. Biedny humorysta, dotknięty śmiercią ukochanego brata i dobroczyńcy, Klemensa, zraniony oszczerstwami zaciętych nieprzyjaciół, których sobie może własnym dowcipem natworzył — wyjechał wreszcie do wód Karlsbadzkich — a potém w miesiącu Lutym dnia 4, 1852 roku, na gorączkę nerwową umarł w Wielkim księstwie Poznańskiém, gdzie też i zwłoki jego, postawione w grobie familii żony, we wsi Siekierkach, o półtory mili od Poznania spoczywają.

Raz już blizko dziewięć lat temu, Ramoty, Ramotki Wilkońskiego w kompletnéj edycyi wydane zostały w Poznaniu — edycya ta wkrótce zupełnie prawie wyczerpaną została. Teraźniejsze pokolenie młode, mało zna owe błyszczące godzinnym dowcipem prace ś. p. Chirurga filozofii, teraz jednakże będzie mogło powetować to sobie, albowiem Wydawca Tygodnika Illustrowanego znany właściciel pierwszorzędnéj drukarni, p. Józef Unger, zajmuje się obecnie wydaniem kompletnéj edycyi Ramot i Ramotek, które nadto, nasz Gawarni Warszawski, a znajomy niegdyś osobiście Au. Wilkońskiego, Franciszek Kostrzewski, illustracyami odpowiedniemi treści, bogato i sympatycznie przystroi.

SULAMITA.

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

III.

(Nizka chata izraelska z rozwartą zasłoną w miejsce drzwi, od strony miasta, które się rysuje w dali — Salumita otoczona gronem towarzyszek, siedzi z rozpuszczonémi w nieładzie włosami na nizkiém posłaniu — towarzyszki krzątają się koło niéj).

SULAMITA.

Ach cóż za mrok
Opadł na duszę mi..
Ratujcie mnie, o drogie siostry moje!
Pierś mi tak drży,
Mgłą mi tak zaszedł wzrok,
Tak straszno mi, tak własnych snów się boję —
Że błagam was, zostańcie!.. Z wami może
Rozpędzę ból, co mi tak serce drze,
Iż zda mi się, jak gdyby ostre noże,
Weszły tam w głąb i wciąż szarpały je..

JEDNA Z DZIEWIC.

Co ci to jest, o Sulamito nasza?
Uspokój się!.. Wesoła jeszcze wczora,
Dziś smętna tak?.. Co znaczy to? — czyś chora?
Uspokój się.. Ten stan twój nas przestrasza..

SULAMITA.

„Uspokój się!“—Gdy zazdrość myśl ci pali,
Gdy żmija żądz łaskocze pierś ci tę,
Gdy w sercu masz mąk tysiąc, tysiąc żali,
Krew w oczach tych, krew w łzach... uspokój się!
O czemuż śmierć nie dmuchnie tchem swym już,
Nie zmrozi mnie, nie zmartwi całéj w głaz,
Bym jako kwiat ztargany siłą burz,
Zapadła w grób i nie straszyła was!
„Uspokój się“ — ach, któraż mi to rzekła?
Kochałaż ta, jak ja? spytajcie jéj—
Zdradzonoż ją, rzuconoż tak w głąb piekła,
Na łup swym łzom, na pastwę męce swéj?
„Uspokój się“—gdy w nocnéj takiéj ciszy
Tysiące mar wciąż szepcze w ucho ci:
On rzucił cię, on skargi twéj nie słyszy!
I przenieść to, o siostro, powiedz mi!

„Uspokój się"—o niech powróci do mnie—
Niech rzucę się raz jeszcze na pierś mu
I cierpiąc tak, kochając tak ogromnie,
Zostanę już bez zmysłów i bez tchu...

. . . .

Lecz wróciż on?

(W téj chwili na wzgórzu, od strony miasta, ukazuje się bogaty orszak z Salomonem na czele — dworzanie ukazują królowi chatkę Sulamity).

GRONO DZIEWIC.

O ciszéj, Sulamito!
Patrz oto—jako słońce, co płynie z gór Syonu,
Kroczy ku nam Salomon ze sług swych, z dworzan świtą,
On, Pan.. ku chacie naszéj—ku nam — ze swego tronu?

SULAMITA. (z najwyższym przestrachem).

Salomon?

(Towarzyszki wychodzą wszystkie w zaciekawieniu przed chatę).

(Dalszy ciąg nastąpi).

MANFRED W ALPACH.

Znanym jest wszystkim zapewne z czytelników naszych prześliczny, aczkolwiek pełen zwątpienia i sarkazmu, utwór nieśmiertelnego Bajrona p. t. Manfred. Rycina na stronnicy 1-széj obecnego numeru zamieszczona, przedstawia właśnie jednę ze scen tegoż dramatu.

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

(Dokończenie.)

Dziedzictwo i przelew jego na potomków, wynika z walki o byt.— Stosunek każdego organizmu do składających go molekułów, jest według autora, tenże sam, co świata w zestawieniu z organizmami.— Molekuły dawnego organizmu obdarzone rozmaitemi dążnościami, walczą pomiędzy sobą, aby istnieć i rozradzać się mogły.— Wszechświat jest wytworem zwycięzkich molekułów, równie jak Fauna i Flora, danéj okolicy, wytworzona z jestestw, które nad innemi odniosły zwycięstwo w walce o byt.

W hypotezie Haeckela dziedzictwo jest wypływem tryumfu molekułów zawartych w płodnym zarodku — warunki przecież zewnętrzne ułatwiają tylko rozradzanie się takich molekułów których dążność organiczna będzie się najlepiéj z niém zgadzać.— W rezultacie przeto warunki zewnętrzne nie są wcale siłą wytwarzającą, lecz tylko oddziaływającą biernie na przekształcenia w danym kierunku.—

Zapewne wypada zgodzić się z Haeckelem, że w świecie zewnętrznym należy szukać pochodzenia molekułów organicznych, i ich dążności— w takim jednak razie różnice między siłami wewnętrznemi i zewnętrznemi, dośrodkową i odśrodkową zatrzeć się muszą.—

Haeckel odmiennie od wszystkich naturalistów zapatruje się na epoki geologiczne, z warstwowań skał wiek ich oznacza.

Między jednym a drugim utworem ubiegały według niego znaczne upływy czasu, które nazywa okresami *przedtryasowym, przedjurasowym, przedkredowym* itp. — Podziałem tym tłómaczy nagłe zmiany w faunie rozmaitych formacyj, któréj zagubione ogniwa miały właśnie należeć do owych przedepok, nie pozostawiających po sobie żadnych śladów życia. — Szczątki naprzykład kopalne prawie wszystkich gatunków płazów znajdują się w utworze tryasowym; Haeckel wszakże odnosi je do okresu przedtryasowego, czyli epoki dzielącéj utwór Permski od Tryasu. —

Z wyjątkiem wielkiéj jaszczurki latającéj zwanéj *Pterodactylus*, węży, i być może żółwi, tryas odznacza się obfitością, płazów, a rzeczą jest prawdopodobną, że w okresie jego żyły już ptaki. Co do zwierząt ssących te istniały w nim niewątpliwie.—

W Permskim utworze poprzedzającym tryas,znajdujemy przeciwnie wielkie ubóstwo życia — jedynymi reprezentantami jego fauny ziemskiej są tylko jaszczurki, które w nim ślady swego pobytu pozostawiły.—

Te właśnie rażące różnice pomiędzy formą obu powyższych formacyj, skłaniają Haeckela do przyjęcia hypotezy pośredniego między niemi czasu czyli okresu przedtryasowego, w którym świat zwierzęcy przedstawiać miał rozwój znaczący, tworzący przejście do okresu tryasowego.—

Hypoteza autora zapełnia przerwy w ogniwach życiowych, których inaczéj wytłómaczyć niepodobna.

W historyi naturalnéj stworzenia, znajdujemy obok tego zmiany wprowadzone w taxonomii. Jestestwa ożywione dzieli Haeckel na *zwierzęta, rośliny*, i *państwo neutralne*, w którem mieści tak okrzemki (Diatomaceae) (*) zaliczane dotąd do królestwa roślinnego, jak i Korzenionóżki (Rhizopoda), pomieszczane zwykle w klassie zwierząt. W ogóle wszystkie gatunki fauny i flory wątpliwego pochodzenia, autor odnosi do tego państwa naturalnego. Czy tém usuwa wątpliwości? Wcale nie — protestują przeciw temu fungi oddzielone od wodorostów, pomimo cech roślinnych jakiemi się charakteryzują, nie zadowolone również będą gąbki, którym Haeckel miejsce obok polipów wyznacza.

Zdaje się nam, że lepiéj byłoby pozostać przy dawnéj klassyfikacyi, w któréj organizmy niższe, nieokreślonego pochodzenia pomieszczane były obok zwierząt lub roślin, odpowiednio do tego, o ile więcéj zbliżały się cechami ustroju do fauny lub flory.

Haeckel zresztą wprowadza nowe podziały ryb i zwierząt ssących. Lemury, bardzo słusznie, oddziela od małp właściwych; syreny wszakże przyłącza do wielorybowych. Olbrzymie jaszczury utworu jurasowego *Ichthyosaury* o szyi krótkiéj, z głowy podobne do krokodylów, autor stawia w jednym rzędzie *z Plesiosaurami*, jaszczurkami długoszyjowemi tegoż utworu, które budową węży przypominały. Czyni to może dlatego, że plesiosaury odznaczały się również jak Ichthyosaury, brakiem nóg a natomiast jak i tamte opatrzone były płetwami. Twory te wszakże należą do oddzielnych rzędów, czego Haeckel nie uwzględnia, gdyż dotychczasową klasyfikacyą uznaje za wadliwą. Przyznać jednak potrzeba, że nowe podziały przez niego wprowadzane, opierają się na racjonalnych podstawach zaczerpniętych z badań morfologicznych, nie powinnyby więc zbyt obruszać naturalistów.

Pogląd autora na genealogią kształtów zwierzęcych, jest szeroki i bardzo śmiały. Spostrzeżenia swe opiera on zawsze na faktach objaśnionych przedziwną logiką. Pociąga też myśl na nowe drogi, w których wolisz się zbłąkać nawet, niż pozostać w nieruchomości.

Przedstawiamy choć w kilku zarysach czytelnikowi, zapatrywanie się autora na rodowody genealogiczne przyrody, wsparte na teoryi stopniowych rozwojów życiowych.

Według Haeckela wszelkie kształty życia poczęły się z monerów czyli cząstek zarodzi (Protoplasma), monery zaś zrodziły się *z materyi nieorganicznéj*. Życie rozpoczęło swe rozwoje od żyjątek najprostszego ustroju.

Jedne z jestestw objawiły dążność do bytu pośredniego między zwierzęciem a rośliną — drugie zwróciły się ku florze—inne w reszcie ku faunie, i te stały się *Monerami świata zwierzęcego*. Z tych niektóre rozwinęły się pod postacią zwierzątek opatrzonych migawkami, podobnych do wymoczków. Z żyjątek migawkowych Haeckel wywodzi dwa typy główne robaków i gąbek. Gąbki, w skutek stopniowych przekształceń, wydały z kolei wszystkie *pławy Jamochłonne* (Coelenterata) czyli zwierzęta promieniste błonkowate, żyjące w morzu, opatrzone jamą żołądkową, z wiodącym do niéj otworem ust, podobnych do napotykanych u polipów. Z robaków zaś wystąpiły, według autora, wszystkie inne zwierzęta niższego ustroju. Typ jednak piérwszy wkrótce wytworzył dwie formy główne. Z tych jedna stała się pramatką Pierścieniic, Sysawek, i Jeżokorów — druga dała życie małżom i ascydyom i zrodziła wreszcie dwie gałęzie: *Zwierząt kręgowych, i mięczaków*.

W zarysie tego drzewa genealogicznego stworzeń, Haeckel opierał się widocznie na poszukiwaniach profesora Kowalewskiego,

(*) Wodorosty, których błona komórkowa pokryta bywa warstwą krzemionki, co im nazwę *okrzemek* nadało. Według obliczenia Ehrenberga pięćset milionów tych jestestw zajmuje zaledwie jednę linją sześcienną.

który również w ascydyach upatruje pień rodowy zwierząt kręgowych. Niemniéj śmiałą jest hypoteza autora, poczytująca Jeżokory za skupienia robaków. Anatomia może jéj usprawiedliwione stawiać zarzuty. W rzeczy saméj, nie znajdziemy ani jednego robaka ze szkieletem wapiennym, lub z nerwem brzusznym w kształcie tasiemki, na powierzchni któréj mieściłyby się naczynia. Rodowody zwierząt kręgowych opiera Haeckel na anatomii porównawczéj i morfologii. Twory ziemnowodne, według niego, były praojcami wszystkich kręgowych, gdyż prototypy tych zwierząt żyły w wodzie. Z owych to pierwotypów wzięły życie dwie rozchodzące się linie rozwojowe. Z pierwszéj powstały *ssące*, z drugiéj *płazy i ptaki*.

Rozwoje życia, skreślone przez Haeckela, jakkolwiek są hypotetyczne, mają przecież ważne znaczenie dla naturalistów przyjmujących w zasadzie teoryą przekształceń—Autor szuka dla nich podstaw w budowie anatomicznéj organizmów przez niego rozpatrywanych, podobnie jak Fritz Miller, Huxley i inni uczeni oddani studyom biologicznym. Historya naturalna stworzenia należy niewątpliwie do najpiękniejszych publikacyj naszego wieku — Haeckel posuwa w niéj wiedzę o krok daléj, zwraca uwagę badaczy na nowe drogi w poszukiwaniach naukowych, które rozświetla błyskawicami swéj intelligencyi. Wszędzie zresztą przejawia się nam, jako biegły naturalista i myśliciel niepospolity. Zapewne nowatorstwo jego spotkać może zarzuty krytyki, te przecież jakkolwiek uzasadnione, nie mogą zmniejszyć zasługi autora, który zbogacił literaturę naukową pracą oddawna pożądaną.

* * *

Z nowszych publikacyj notujemy broszurę Burnet Tylora *o śladach stanu umysłowego człowieka w czasach pierwotnych.*

Autor wychodząc z zasady, że doskonalenie narzędzi używanych przez człowieka w różnych fazach jego rozwoju, jest wskazówką postępu cywilizacyi, a tém samém miarą stopniowego rozszerzania się intelligencyi, usiłuje okazać to na dwóch głównych i najstarożytniejszych płodach myśli ludzkiéj; a mianowicie na rachunku i pomysłowości w tworzeniu bóstw różnorodnych. Owóż jeżeli weźmiemy pod uwagę przedział istniejący między matematykiem naszych czasów, i dzikim, który liczyć umie z pomocą jedynie swych palców, a niekiedy arytmetyczną umiejętność doprowadza tylko do liczby z dwóch jednostek złożonéj, zrozumiémy łatwo, że Tylor mógł się wywiązać bez trudu z pierwszéj części zadania. Odnośnie do drugiego punktu tezy autora, jakkolwiek w ludzkości bieżącego wieku krzewi się jeszcze przesąd szeroko, to przecież daleką ona od Dyaksów Borneo, którzy ubiwszy nieprzyjaciela, przechowują jego głowę, aby zapewnić sobie niewolnika w świecie pozadoczesnym. Jakże jest wielką, różnica między ucywilizowanym europejczykiem uznającym rozumną Istność Najwyższą, a zabobonnym Grenlandczykiem grzebiącym psa ze zmarłem swém dzieckiem, dlatego, aby zmyślność tego zwierzęcia prowadziła nieboszczyka w krainę duchów—lub owymi Getami, którzy według podań Herodota, zabijali człowieka po każdym pięcioletnim upływie czasu, aby im służył za wysłańca do bożka Zamolxysa.

Broszura Tylora, to studjum sumienne i pięknie opracowane. Autor przechodzi stopniowe rozwoje intelligencyi ludzkiéj, opierając swój pogląd na wyrobach sztuki i przemysłu znalezionych w warstwach ziemnych, z epoki kamiennéj, bronzowéj i żelaznéj. W wielu też miejscach powołuje się na Lubbocka, autora pomnikowego dzieła: *Człowiek przedhistoryczny*, z którego odkryć korzysta.

* * *

Mniéjszéj nierównie wartości jest rozprawa Gratiolet'a „*O zwojach mózgowych u małp i człowieka*, w któréj uznając uderzające podobieństwa zachodzące między mózgiem człowieka i małp starego lądu, zaznacza przecież cechę charakterystyczną, właściwą według jego opinii, jedynie tylko człowiekowi. Cechę tę stanowić mają *zwoje przechodnie*, które u człowieka są wielkie, wierzchnie, i tworzą przejście między płatami ciemieniowemi i potylicowemi. Owóż pierwszy z tych zwojów, ma według Gratiolet'a, istnieć u orangutanga, drugi zaś głęboko ukryty pozostawać niewidzialnym. Szympans przeciwnie nie miałby pierwszego zwoju, drugi byłby u niego prawie nie widocznym.

Cechy powyżéj powołane przez tego anatoma, mające odróżniać ród ludzki od czworęcznych, w rzeczywistości nie przedstawiają takiego znaczenia, jakie im on nadać usiłuje.

Broca okazał najwidoczniéj na mózgu młodego szympansa, istnienie pierwszego zwoju przechodniego, a profesor Turner opinie Gratiolet'a złudzeniami nazywa. Broca zresztą powołuje się na dwa mózgi ludzkie, które badał, chąc sprawdzić faktą przez autora podane. W mózgu pierwszym, należącym do młodéj kobiety, zmarłéj z cierpień chronicznych, kobiety z wyobraźnią żywą, intelligentną, pierwszy zwój przechodni wcale nie był widoczny. Właścicielem drugiego mózgu był człowiek obłąkany, który sobie życie odebrał — u tego drugi tylko zwój był widzialnym, pierwszy zaś zbyt głęboko ukryty, chociaż tak być nie powinno według prawa Gratiolet'a.

Wypada nam tu nadmienić o kobiecie zmarłéj niedawno w szpitalu Ś-go Antoniego w Paryżu, ktora w czasie wojny francuzko-pruskiéj pędziła przez kilka miesięcy w fosach fortyfikacyjnych stolicy i w lesie Vinceńskim życie nędzne, na podobieństwo zwierząt dzikich. Mózg téj kobiety nie różnił się niczém od układu mózgowego Wenery Hotentockiéj; stan jéj umysłowy zbliżał się do idyotyzmu. Fakt ten ujawniać się zdaje zależności istniejące między ustrojem mózgu a rozwojem intelligencyi. Waga mózgu człowieka dochodzi trzech funtów, podobnéj nie przedstawia żadne zwierzę, mniéj też zdolne do twórczości właściwej rodowi ludzkiemu. Anatomia śledzi dziś i szpera w układzie nerwowym życia zwierzęcego, rozpatruje się w zwojach mózgowych, w sklepieniu, we wzgórku czworaczym, i w piasku mózgowym. Ze studyj tych wytrysnąć może kiedyś światło, które nam odsłoni tajemnice ustroju organu, będącego niewątpliwie wyłącznem siedliskiem myśli i uczuć.

* * *

Huxley wydał niedawno nową pracę: *Wykłady fizyologii elementarnéj*. Dotąd uczony ten zajmował się anatomią porównawczą i paleontologią, obecnie wystąpił z traktatem biologicznym, w którym zupełnie nowy pogląd na zjawiska życiowe rozwija. Książka ta, pomimo skromnego tytułu, obejmuje najważniejsze kwestye naukowe, rozpatrywane przez autora z właściwą mu jasnością, a są między niemi i takie, które dotąd przez żadnego z fizyologów badane nie były.

W wykładzie pierwszym Huxley daje ogółowy rzut na mechanikę organizmów żywych. Prawa pracy i zużywania się, przybytków i ubytków, oparte na doświadczeniach, przedstawione są w sposób ułatwiający czytelnikowi zrozumienie szczegółów téj mechaniki, będącéj przedmiotem wykładów następnych. W wykładzie trzecim autor pomieścił najnowsze odkrycia odnoszące się do krwi i limfy, w jedynastym mówi o systemie nerwowym. Kogo obchodzić mogą stosunki zachodzące między fizyologią i psychologią, niech odczyta wykład dziesiąty, poświęcony tego rodzaju badaniom. Znajdzie w nim rozebrane węzły wzajemne, łączące wrażenia przez nasz organizm odbierane, z pojęciami jakie za ich wpływem w tymże powstają. Wszelkie bowiem zjawiska duchowe autor tłómaczy odpowiedniemi zjawiskami w materyi.

Fizyologia elementarna Huxleya niezmiernie jest popularną w Anglii, gdzie zresztą poważne kwestye naukowe obudzają żywe zajęcie. Przekładem jéj na język francuzki zajął się Dally, który to dzieło nazywa we wstępie *nauką bez frazesów*. W przekładzie tym znajdujemy rozdział opracowany przez Michała Forstera, w którym tenże, analizując ciało człowieka, podaje ile ono waży, w jaki rozkłada się sposób, co zyskuje z pokarmów, ile traci przez pracę, pod jakim kształtem i w jakim stosunku każdy element wchodzi i występuje z organizmu. Jest to bezwątpienia jeden z najciekawszych rozdziałów książki nietylko dla specyalisty, ale dla każdego miłośnika nauki.

* * *

Znany chemik francuzki Fremy, w pamiętniku naukowym opisuje pożywne własności *Osseiny*, materyi organicznéj, wydzielanéj z kości i całkiem różnéj od kleju zwierzęcego.

Osseinę otrzymuje Fremy działaniem chlorowodoru roztworzonego wodą, na kości zwierzęce. Przedstawia ona nie mniejszy stopień pożywności od kazeiny, fibryny i białka. W processie wydzielania Osseiny ważną jest rzeczą, powiada Fremy, oczyścić kości z tłuszczu, zanim się je podda działaniu chlorowodoru, gdyż wtedy materya ekstraktowa zyskuje na czystości, i nie ma żadnego przykrego zapachu. Przy użyciu na pokarm należy wzdymającą się zwolna w wodzie zimnéj osseinę, poddać wrzeniu, w ciągu jednéj tylko godziny, w roztworze solą nasyconym. Dłuższe bowiem

wrzenie wytworzyłoby masę kleistą, mniéj przyjemnego smaku.— W czasie oblężenia Paryża przez armią niemiecką, Osseina odgrywała dość ważną rolę w żywieniu miasta.

* * *

We Lwowie opuścił prassę pierwszy zeszyt przekładu dzieła Darvina: *Pochodzenie człowieka i wybór płciowy*. Wydawnictwém pracy znakomitego biologa w języku rossyjskim, zajmuję się w Petersburgu redakcya dziennika „Dieło“. Przekład dokonywa się pod kierownictwém Błagoświetłowa i jest bardzo staranny; tekst objaśniają rysunki. Dotąd już wyszły dwa zeszyty, trzeci i ostatni ma być ukończonym w Październiku r. b. Już to przyznać potrzeba niepospolitą zasobność rossyjskiéj literaturze naukowéj— każda poważniejsza praca oryginalna znajduje chętnego wydawcę — każde dzieło głośniejsze zagranicą bezwłocznie tłómaczoném zostaje.

Ludwik Figuier, znany redaktor i wydawca *Rocznika naukowego*, wydał obecnie w Paryżu dziełko pod tytułem: *Nozajutrz po śmierci*, oparte pozornie na studyach nauk przyrodniczych, a rzeszywiście będące płodem chorobliwéj wyobraźni.

Schiaparelli w pamiętnikach Instytu Lombardzkiego, zamieścił nową rozprawę o kometach i meteorytach.

Zwracamy uwagę czytelników naszéj *kroniki na prospekt* Dwutygodnika naukowego, literackiego i artystycznego, „Niwa“, któreto pismo pod redakcyą p. Juliana Schönmana wychodzić ma u nas od Nowego roku. Jeżeli program redakcyi spełnionym zostanie, jak się spodziewać wypada, to plon zebrany z téj niwy powinien być pożytecznym.

W końcu zanotować nam przychodzi odkrycie 114 asteroidy, przez profesora Peters w Hamilton College w Nowym Yorku — oraz stratę, jaką poniosła nauka w osobie Edwarda Claperéda, profesora anatomii porównawczéj, który zakończył życie w Genewie.

W. Niewiadomski.

Szkice Charakterystyczne.



Nr. 1. Tenor lekki.



Nr. 2. Soprano wysokie.

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Szamil zarządził, żeby młodszy syn jego Hadżi-Mahomet, w towarzystwie trzydziestu dwóch czerkiesów przeprowadził księżne pod drzewo na prawy brzeg rzeki, pod które miał podéjść Dżemal-Eddin z takąż eskortą, pod dowództwem dwóch oficerów rossyjskich, i pod które miały być przywiezione czterdzieści tysięcy rubli. Oficerowie ci nie wprzód mieli opuścić Dżemal-Eddina, jak gdy ten ojcu będzie oddany. Oddział rossyjski zatém złożony z trzydziestu dwóch żołnieży z oficerami, skrzynie z pieniędzmi na arbach, szesnaście jeńców czerkieskich i Dżemal-Eddin, w towarzystwie księcia Czawczawadze i barona Nikolai, którzy pozostali o jakie pięćdziesiąt kroków z tyłu, zbliżył się do rzeki, a za nimi szedł powóz, do którego miały wsiąść księżne. Z drugiéj strony zbliżał się Hadżi-Mahomet ze swémi ludźmi i arbami, na których jechały księżne. Hadżi-Mahomet wyprzedził cokolwiek z swoim orszakiem arby, lecz wkrótce te nadjechały, tak że oba orszaki stanęły jednocześnie pod drzewem.

Na czele Szamilowskiego orszaku jechał na białym koniu młody człowiek, bladéj, pięknych rysów twarzy, w białéj czerkiesce i białym papachu: był to Hadżi-Mahomet, brat Dżemal-Eddina; za nim w dwa rzędy jechało trzydziestu dwóch czerkiesów, bogato odzianych i uzbrojonych. Kiedy oba orszaki zbliżywszy się na dziesięć kroków do siebie, zatrzymały się, Hadżi-Mahomet i Dżemal-Eddin zsiedli z koni i rzucili się w objęcia, co widząc miurydzi Hadżi-Mahometa, zawołali: Allach il Allach! W téj chwili zbliżyli się i książe Czawczawadze z baronem Nicolai. Wówczas Hadżi-Mahomet oddał księżne z kobietami księciu Czawczawadze, a skrzynie z pieniędzmi oddane zostały miurydom. Dżemal-Eddin był przedstawiony księżnom, które go powitały jak swego wybawiciela; następnie pożegnał je i barona Nicolai, i ocierając ostatnie łzy żalu po przeszłości, udał się do ojca w towarzystwie dwóch oficerów, którzy mieli oddać go imamowi.

O pół wiorsty od Szamila, orszak zatrzymał się pośród grupy drzew. Dotąd Dżemal-Eddin odziany był w mundur rossyjski, lecz tu, zdjąwszy go, wdział przysłaną przez Szamila czerkieskę, i wsiadł na czarnego konia z czerwonym czaprakiem, którego mu podprowadzili dwaj nukierzy. Zaledwo Dżemal - Eddin ujechał kilka kroków, gdy z grupy otaczającéj Szamila, wymknął się chłopczyk lat trzynastu i podbiegłszy do Dżemal-Eddina, wskoczył na jego konia i rzucił się Dżemal-Eddinowi na szyję; był to drugi brat jego Mahomet-Szabe. Jeźdcy stanęli nakoniec przed Szamilem. Powaga wschodnia i godność religijna, nie pozwalały mu, mimo najżywszych chęci uściskania jaknajprędzéj syna, powstać na jego spotkanie. Czekał nań siedząc nieporuszenie na krześle, między dwóma starymi miurydami, pod parasolem, który nad nim trzymano. Tymczasem Dżemal-Eddin zbliżył się do ojca i chciał go pocałować w rękę, ale Szamil nie mógł dłużéj wytrzymać, uchwycił go, łkając głośno, w objęcia i przycisnął do serca. Dżemal-Eddin usiadł po prawéj stronie ojca, , który ciągle w oczy mu patrzał i ściskał go za rękę.

Dwaj oficerowie rossyjscy stali w milczeniu, wzruszeni poglądając z uszanowaniem na tę pełną tkliwéj prostoty scenę, na tego starca, tak poważnego i pięknego, który po tylu latach, rozłąki, odzyskał nakoniec ulubionego syna i z taką witał go radością. Gdy jednak zbyt długa ich nieobecność mogła zaniepokoić generała, prosili oświadczyć Szamilowi, iż są oficerami, którym kazano oddać Dżemal-Eddina, i ponieważ missya ich skończona, proszą żeby im wolno było wrócić. Wówczas Szamil, żegnając się z nimi, rzekł: „Wątpiłem dotąd, żeby rossyanie mogli dotrzymać

„słowa, lecz od téj chwili zmieniam przekonanie. Podziękujcie „odemnie baronowi Nicolai i oświadczcie księciu Czawczawadze, „żem się z jego żoną i szwagierką obchodził tak, jak gdyby były „memi własnemi córkami.” Dziękował też i oficerom, którzy podeszli do Dżemal-Eddina, żeby się z nim ostatni raz pożegnać.— Dżemal-Eddin rzucił się w ich objęcia i pocałował każdego trzy razy w twarz, a Szamil nietylko się nie zagniewał za tę oznakę czułości dla byłych syna towarzyszy, lecz owszem patrzał na nią z przyjemnością. Poczém, oficerowie rossyjscy, ukłoniwszy się jeszcze raz Szemilowi, siedli na konie i w towarzzstwie pięciudziesięciu miurydów wrócili nad brzeg Miczyku. Nad rzeką dały się słyszéć wystrzały z ręcznéj broni, były to oznaki radości ludzi Szamila, cieszących się z powrotu do nich Dżemal-Eddina, po tak długiéj nieobecności. Tu oficerowie rossyjscy pożegnali towarzyszących im miurydów, i rozjechali się, każdy w swoją stronę: piérwsi do barona Nicolai, a miurydzi do Szamila

IV.

Śmierć Dżemal-Eddina.

Książe Mirski, obecnie pomocnik Wielkiego Księcia na Kaukazie, dowodził w 1858 roku, Kabardyńskim pułkiem piechoty, konsystującym w Chasaf-jurcie. W lutym tegoż roku oznajmiono księciu, że jakiś góral, mieniący się być posłańcem Szamila, życzy z nim mówić. Książe położywszy przy sobie pistolet, kazał go wprowadzić. Posłaniec oświadczył że Dzemal-Eddin dotknięty chorobą nieznaną lekarzom tatarskim, blizkim jest śmierci, i że imam chcąc go ratować, postanowił udać się do lekarzy europejskich. Książe przywołał natychmiast jednego z lepszych lekarzy pułkowych, p. Piotrowskiego, który po rozmówieniu się z czeczeńcem, poznał w chorobie Dżemal-Eddina syptomata wielkiéj zabijającéj tęsknoty, i przygotowawszy lekarstwa, z informacyą jak je używać, wręczył je posłańcowi. Góral nadto miał oświadczyć imamowi, że jeżeli życzy sobie,żeby lekarz pojechał do chorego, książe zgodzi się na to pod pewnémi warunkami.

10-go Czerwca tenże sam posłaniec znowu się zjawił w Chasaf-jurcie. Choroba zrobiła ogromne postępy i Szamil zgadzając się na wszystkie warunki księcia Mirskiego, prosił żeby jaknajprędzéj przysłał mu lekarza. Książe zarządał, żeby nim doktor nie wróci, trzej naibowie pozostali w Chasaf-jurcie, jako zakładnicy. O dwie mile czekało pięciu naibów i trzech z nich przybyło natychmiast do Chasaf-jurta. Książe posłał znów po p. Piotrowskiego i oświadczył mu o co idzie, dodając, że nie zmusza go bynajmniéj do udania się w góry, lecz zostawia mu zupełną swobodę zgodzić się, lub nie, na prośbę Szamila

Lekarz nie wachał się ani chwili: zabrawszy z sobą medykamenta, których mógł potrzebować, wyjechał z Chasof-jurta w towarzystwie posłańca i dwóch naibów, 12 Czerwca, o siódméj rano. P. Piotrowski jechał z początku prawym brzegiem Jaraksu i podejmując się na wyżyny Żuidabachu, zalegające ziemię Anchską, widział jak niedaleko rzeki Achsaju, na lewym jéj brzegu, dwie sotnie kozaków dońskich, z wycieczki zapewne, wracały do fortecy Wniezapnéj.

O południu podróżni wjechali w małą dolinę, pełną kolących krzaków, i zatrzymali się na niéj dla nakarmienia koni. Jeden z naibów rozesłał burkę na ziemi i prosił doktora, żeby na niéj usiadł. P. Piotrowski wydobywszy z sumki podróżne śniadanie, zaprosił na nie i swoich przewodników, lecz ci, prócz kawałka chléba, nic przyjąć nie chcieli; o sérze odezwali się, że nie wiedzą coby to było, gdyż nigdy nic podobnego nie jedli. Z tego miéjsca można było widzieć pikiety czerkieskie blizko lasu, pokrywającego brzegi Achsaju; górale, ze strzelbami zawieszonémi przez plecy, nieśli się ku stronie, z któréj widać było gęsty słup dymu.

Zaledwie doktor skończył śniadanie, jakiś czeczeniec wyszedł zza krzaku ze strzelbą w ręku, zatrzymał się o pięćdziesiąt kroków i zamienił kilka słów po tatarsku z naibami: dym był znakiem połączenia się, lecz już było zapoźno; nim czeczeńcy zebrali się, kozacy wrócili już do fortecy. Podczas rozmowy górala z naibami, p. Piotrowski chciał odejść na stronę dla uzbierania poziomek, ale naibowie ostrzegli go, żeby się nie oddalał, gdyż podróż jego była tajemnicą, mógłby się więc na strzał narazić.

(Dokończenie nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Nic nie szkodzi, Sybillo,— rzekł ojciec — wiem że najbardziéj dotknęły cię wyrazy „fałszywa i przebiegła,“ Ale nie zważaj na to; masz tu pieniądze; kup sobie niebieską suknią, jeżeli chcesz tego, a w cobądź się ubierzesz, zawsze będziesz najpiękniejszą panną w salonie.

Po téj przemowie, pocałował córkę, wsunął jéj w rękę kilka sztuk złota i wyszedł. Ale Sybilla czuła ból w sercu. Zacząwszy od Blanki, wszyscy je ranili boleśnie: wszyscy nawzajem wynajdywali w sobie wady, podejrzywali się i szydzili jedni z drugich. To okropne i nieznośne zarazem. Rozumie się, że przytem i jéj projekta swatania rozpadały się: prawdopodobnie stryj jéj i przyjaciółka nigdy się nie zakochają w sobie.

Pełna tych myśli, poszła oddać Denizie rzeżuchę. Znalazła ją w warzywnym ogrodzie wraz z Narcyzem. Deniza stała odpoczywając, jak to było jéj upodobaniem, a Narcyz rozprawiał z energią:

— Powiedziałem mu, że jest ostrygą.

— Nie trzeba było, Narcyzie,— rzekła Deniza — nie trzeba było.

— Ale on jest ostrygą, — powtarzał Narcyz, — dla czegoż odrazu nie poszedł po chirurga?

Słysząc o chirurgu, Sybilla zapytała: — co się stało?

— Bo to proszę pani, — rzekł Narcyz, — zamiast iść po chirurga, obwiązali mu tylko rękę.

— Komu?

— Panu de Renneville; wywichnął sobie rękę, idąc na bal do pani Ronald, a służący obwiązał mu ją, zamiast sprowadzić chirurga.

— Więc nie był na balu? — zapytała Sybilla zarumieniona.

Narcyz niewiele rozumiejący się na grzeczności, zapytał:—jakże miał pan de Renneville iść na bal z podwiązaną ręką?— a z tonu zapytania zmiarkowała Sybilla, że ją wziął za ostrygę. Niewiele jednak dbała o to; odeszła zaniepokojona w dziwny sposób. Teraz jasno widziała. Więc to pan de Renneville odwiedził panią de Lonville i skłonił ją do ostrzeżenia Sybilli. Zapomniała o celu swego przybycia do warzywnego ogrodu i o Blance i rzeżusze, rozważając ciągle, jak to uprzejmie było z jego strony. Lekkie uderzenie w ramię rozbudziło ją z dumania. Obróciwszy się, ujrzała Blankę uśmiechającą się do niéj:

— Cóż, Pensarozo, o czém? może o panu Smith?

— Nie, zaprawdę, nie o nim.

— Ale co się też z nim stało? kiedy powróci? Wiesz, że mnie zaciekawia, chciałabym go widzieć i słyszeć jak nie wymawia H, lub je zamocno wymawia.

— Nie słyszałam nic o nim.

— Czy to z jego powodu twój stryj wyjeżdżał?

— Nie mówił mi stryj w jakim wyjeżdżał interessie.

— Czy tylko pewna jesteś że wyjeżdżał? Ja sądzę, że on, wraz z tym panem Smith, zamknięci byli przez cały ten czas w jakiéj kryjówce tego starego opactwa. Ale mów że co, wiesz że pragnę usłyszeć od ciebie coś o tym panu Smith, a nic wydobyć nie mogę.

Sybilla miała ochotę udzielić przyjaciółce szczegółów z listu nawpół przeczytanego, ale przypomniała jéj się przestroga stryja, rozśmiała się więc i potrząsnęła głową.

— Moja droga, muszę cię ostrzedz,—rzekła uroczyście Blanka. — Jestem tu jak Ewa w Raju, bo pani Blunt dała mi urlop na czas nieograniczony, a dla uzupełnienia podobieństwa, mam zamiar przewinić się tutaj. Jest tu drzewo wiadomości, z zakazanym owocem, sekretem, a wąż kusiciel, którego każda z nas w sobie nosi, powiada mi, że owoc ten wyborny. Zatém, jak powiedziałam, ostrzegam cię. Badać będę wszystkie sługi, myszkować będę po

całym domu dopóty, dopóki nie dowiem się wszystkiego o panu Smith.

— A wtedy podzielisz się jabłkiem ze mną i powiesz mi ową tajemnicę?

— Nie, — stanowczo odpowiedziała miss Cains. — Adam był hipokrytą, który na Ewę zwalił całą winę. Powinna była sama zgrzeszyć a jego zostawić w raju; jak mężczyzna, zapomniałby o niéj dla drugiéj Ewy.

Miss Cains mówiła z pewną goryczą. Sybilla spoglądała na nią poważnie.

— Miałaś jakie zmartwienie, Blanko?

— Czy sądzisz że mój Adam mnie opuścił? Moja droga, nie mam go i nie miałam nigdy. Tak sobie mówiłam tylko. Mam lat dwadzieścia pięć, uboga jestem jak Hiob, a minę mam lubiącéj dużo wydawać. Nie znalazł się jeszcze taki coby podjął się wydatków jakieby mu ożenienie się zemną przyniosło. I nie mogę nikogo za to ganić. Nie poszłabym za ubogiego.

— Choćbyś go kochała?

— Nie kochałabym ubogiego. Pamiętaj, że ty znasz ubóstwo z teoryi, a ja z praktyki, z gorżkiéj praktyki. To okrucieństwo, samolubstwo ze strony ubogiéj dziewczyny, wychodzić za mąż za ubogiego. To męczarnia dożywotnia. Ale ty, szczęśliwa dziewczyno; co to za miejsce Saint - Vincent! Jakie owoce masz tutaj! a kwiaty, a jarzyny, a drób' — prawdziwa ziemia obiecana!

— Lubisz kalafiory, wiém o tém; — rzekła Sybilla.

— Nadzwyczaj — i groszek i sałatę i kurczęta i poziomki ze śmietanką.

— Groszku niema, rzekła Sybilla z westchnieniem, — ale mamy tu inne dobre rzeczy. Pójdź i wybieraj na obiad.

Miss Cains z chęcią usłuchała wezwania i uczyniła wybór obfity i rozumny. Potém powtórzyła jeszcze, że Saint - Vincent jest ziemią obiecaną, a Sybilla ucałowała ją, życząc aby mogła razem żyć w Saint-Vincent i umierać.

ROZDZIAŁ XV.

Łatwo to oświadczać, że się już więcéj nie będziemy mięszali w tę materyą, że dosyć już tego, że umywamy ręcę i t. d.; trudno wytrwać w takim postanowieniu, o czém i miss Glyn bardzo prędko się przekonała. Swobodna stopa na jakiéj urządziła się miss Cains w Saint-Vincent była dla niéj ciągłém udręczeniem; wąpliwe pokrewieństwo stryja Edwarda uważała za szczyt niegodziwości, a chłodne zachowywanie niepodzielnéj władzy w swoim domu i w swoich interessach, jakiém się kierował Kennedy, wystawiało ją na codzienne, drobne, ale częste upokorzenia. W takim położeniu dość było jednéj wizyty pani de Lonville, aby obalić wszystkie poprzednie panny Glyn postanowienia.

Miss Glyn była dawną przyjaciółką pani Ronald, a w jéj domu w ciągu ostatnich kilku dni zrobiła znajomość z panią de Lonville. Znajomość była jednak powierżchowna. Miss Glyn nie prosiła pani de Lonville o to aby ją odwiedziła, zdziwiła się, zatém niezmiernie gdy Deniza doniosła o jéj przybyciu. Zdarzyło się że miss Glyn była naówczas sama w pokoju, kazała więc Denizie wprowadzić gościa do salonu, do którego natychmiast i sama pośpieszyła, zdwoiwszy zwykłą sobie sztywność i powagę. Na jéj wejście, pani de Lonville podniosła się i posunęła ku niéj. Byłato osoba otyła, okrągłéj twarzy, z dziecinnym uśmiechem i bystremi zielonemi oczami. Nim dotoczyła się do panny Glyn już jéj tchu zabrakło.

— Nic to nie znaczy, — rzekła siadając i uśmiechając się bez przyczyny.—Muszę panią uprzedzić, że nie przychodę z wizytą, ale z interessem.

Objaśnienie to nie zdziwiło panny Glyn. Od pani Ronald wiedziała, że pani de Lonville lubiła mięszać się do każdéj sprawy. To jakieś bilety na loteryą w celu dobroczynnym, to podpisy na jakieś piękne projekta; to jakaś bezimienna pani ma pierścień djamentowy do zbycia; to jakiś pan Niewiadomski chciałby odstąpić beczkę wina; to jakiś tajemniczy przyjaciel potrzebujących, chętnieby wypożyczył kilka tysięcy franków na taki a taki procent, byle tylko dobra była ewikcya i t p.

— Tak, przychodzę w interesie, — powtórzyła pani de Lonville. — Zgadnij pani w jakim.

I nie dając pannie Glyn czasu do odpowiedzi, zasłoniła usta ręką i zniżonym głosem dodała „matrymonialnym.“

Zdarzyło się zaś tak, iż miss Glyn, będąc u pani Ronald, w obecności pani de Lonville, powiedziała, iż pragnęłaby aby Sybilla jaknajprędzéj wyszła zamąż. Pani de Lonville zanotowała to sobie.

Swatanie bowiem było także jéj ulubioną czynnością. W Anglii panna chcąca wyjść zamąż poluje na własną rękę, tak jak kawaler chcący się żenić, rzuca oczami na około, i jak sułtan wybiera tę, która mu się spodoba i wynurza jéj swoje zamiary. We Francyi zwykle nie tak bywa. Tam panny w wieku stosownym do zamążpójścia, są przedmiotem obrad swych starszych przyjaciołek. Ma tyle pieniędzy, tyle dochodu, ma niebieskie oczy, ciemne włosy, łagodny temperament, ukształcenie etc. Panowie, którym daje się ta szczegółowa nomenklatura, stają w gotowości zakochania się; po wprowadzeniu starają się podobać, a z pierwszego spotkania obie strony sądzą czy warto urządzać następne. Jestto straszna ogniowa próba, owo pierwsze spotkanie; czasém z niego wypływa miłość, a częściéj niesmak, niechęć i odraza. Wtedyto owe pochlebne opisy niebieskich oczu i ciemnych włosów i pięknego ukształcenia redukują się do ich właściwéj wartości. Panie swachy w rodzaju de Lonville, liche otrzymują podziękowanie za swoje trudy, ale to je nie zraża: chęć pracowania dla szczęścia ludzi, nadzieja na realne wynagrodzenie, popycha je do nowych kombinacyi. Ale to nie należy do naszéj materyi.

— Bądźmy otwarcie — rzekła uprzedzająco pani de Lonville,—ja jestem zupełnie otwartą, jak pani widzisz. Pani masz piękną siostrzenicę, którą chciałabyś dobrze wydać zamąż.

— Co pani nazywasz dobrem zamążpójściem? — powoli zapytała miss Glyn.

— Dobrem, szczęśliwém zamążpójściem nazywam dostanie pięknego, dzielnego, ukształconego, dobrego rodu i wzorowo moralnego młodzieńca.

— Ubogiego?—sucho zapytała miss Glyn.

— Nie bogaty, to prawda — odpowiedziała pani de Lonville — bogaci najczęściéj nie szukają sobie żony.

Miss Glyn rzekła po namyśle.

— W istocie chciałabym, żeby moja siostrzenica dobrze wyszła zamąż — ale muszę więcéj szczegółów dowiedzieć się o młodym człowieku, wprzód nim jakąkolwiek, choćby niestanowczą dam odpowiedź.

— Kochana pani! — właśnie po to przyszłam, — rzekła pani de Lonville, któréj zielone oczy zabłysnęły nagle.—Pytaj pani, ja będę odpowiadać.

— Powiedz mi więc pani najprzód jego nazwisko.

— Nie, widzisz pani nie mogę jeszcze. Pani słusznie jesteś powściągliwą i ja muszę być taką. Ale jest dobrego rodu, jest hrabią — rzeczywistym hrabią, ze staréj szlachty. Chciałabyś pani mieć siostrzenicę hrabiną?—zapytała pieszczotliwie.

Miss Glyn zamiast odpowiedzieć, rzuciła nowe pytanie.

— Ile ma lat?

— Trzydzieści, ale nie wygląda więcéj jak na dwadzieścia pięć.

— Zatém dla Sybilli zastary — o dużo zastary.

— Wybacz pani, ale sądzę iż to mu jako przymiot policzyć należy, iż ma już trzydzieści lat. Już piwo wyszumiało, jak mówi pani Ronald.

Odpowiedź ta wcale nie podobała się pannie Glyn, czarne jéj oczy zabłysły i odpowiedziała z godnością.

— Nie mogę dobrze sądzić o ludziach, którzy muszą wyszumieć.

— Ach! — westchnęła pani de Lonville — i ja także, ale gorzéj daleko, jeżeli to przypadnie po zawarciu małżeństwa. Mnie to ledwie o śmierć nie przyprawiło.

— Hrabia ten zatém jest i zastary i niedość moralny dla mojéj siostrzenicy.

— Kochana pani, alboż ja co mówiłam o moralności, — krzyknęła pani de Lonville — to najprzykładniejszy młody człowiek, mieszka razem z matką w starym zamku; chodzi tylko czasem na polowanie, nigdy nie tyka kart, nigdy nie klnie, chodzi do kościoła w każdą niedzielę.

— Bo mówiłaś pani o wyszumieniu jakiemś, — rzekła podejrzliwa miss Glyn.

— To mówiłam tak, odnośnie do trzydziestu lat — ale doprawdy, nie słyszałam o nim nic podobnego.

Mówiła tak solennie, iż uspokoiła pannę Glyn. Szedł daléj opis jego pięknéj powierżchowności: nosił bokobrody i wąsy, miał oczy niebieskie, nos prosty i śliczne zęby. Co do wykształcenia, posiadał wiele języków i grał na skrzypcach. Temperamentu był łagodnego, szlachetnego serca — słowém od czasu jak hrabowie istnieją i małżeństwa się zawierają, jeszcze tak doskonały młodzieniec nie uszczęśliwił żadnéj panny tytułem hrabiny.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

NOWINY.

Dzisiejszą seryą nowin otwiéramy faktem, który da się scharakteryzować owém znaném wykrzyknikiem Ludwika XIV: „Point de Pyrénées.“ Mówimy tu o uroczystości inauguracyjnéj otwarcia Tunelu Mont-Cénis. W połowie zbliżającego się miesiąca kolej żelazna zacznie tam być czynną.

Po téj pocieszającéj dla cywilizacyi nowinie, podzielić musimy ból prassy politycznéj francuzkiéj z powodu straty, jaką poniosła w osobie p. Edwarda Bertin, dyrektora *„Journal des Débats.“* Zamknął on sobą, tak nazywaną w Paryżu, dynastyą Bertin'ów. Była, to w istocie pewnego rodzaju dynastya. Głowa téj rodziny Bertin, nazywany powszechnie Bertin starszy, z bratem swoim Bertin de Vaux, stworzył niezwłocznie po 18 Brumaire to pismo polityczne, które się stało jedném z najsympatyczniéjszych i najpoważniejszych we Francyi, a nigdy już odtąd, aż do śmierci Edwarda, nie wyszło zpod redakcyi rodziny Bertin'ów.

We Lwowie wyszedł z pod prassy piérwszy tom dzieła Ernesta Haeckla: „Historja naturalna stworzenia,“ przełożony z drugiego wydania Niemieckiego przez pp. J. Czarneckiego i L. Masłowskiego.

Tamże zopowiedziano wydawnictwo wielkiéj wagi, pod nazwą: „Biblioteka pedagogiczna.

P. Edward Strasburger, wychowaniec b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, wezwany został na Katedrę Botaniki w Uniwersytecie Krakowskim.

Nie wątpimy, że publiczność powita z należném spółczuciem prezent, jaki dla niéj gotują pp. Gebethner i Wolff, zamierzonem wydawnictwém wszystkich utworów scenicznych Al: Hr: Fredry. Dwa tomy już wyszły z pod prassy.

P. Chęciński napisał libretto do opery „Beata“ z muzyką p. Moniuszki.

Najnowsza literatura rossyjska wzbogaciła się nową pracą, o któréj dzienniki z wielką odzywają się pochwałą, pomimo znajdywanych tamże wielkich z drugiéj strony usterek, p. Dostojewskiego, p. t. Biesy (Złe duchy).

Życie i śmierć graniczą z sobą o wązką miedzę na tym świecie; przechodzimy więc do ruchu w dziedzinie literackiéj, — u nas i zagranicą. Trzeci poszyt bibliografii polskiéj p. Estrajchera Karola, doprowadzony do litery „dramatycy,“ opuścił prassę. Czwarty ma wyjść na świat z przyszłoroczną wiosną.

Deotyma pisze poemat z pierwszych wieków chrześciańskich: „Narzeczona z Ogrodzieńca.“

P. Michał Bałucki, znany publiczności naszéj autor Radców pana Radcy napisał nową komedyą: „Na łonie natury.“ Utwór tegoż autora pod napisem „Pracowici próżniacy,“ wkrótce ma być przedstawionym na scenie Warszawskiéj. Z dalszych nabytków do repertuaru tegoż teatru, wspomnieć wypada o operetce p. Hoffmana: „Żaki“ i jednoaktowéj komedyjce p. Stefaniego: „Żarty.“

Lukrecia Borgia, ma tu być równie wznowioną. Rolę tytułową przyjmuje na siebie p. Miller Czechowska, występująca obecnie na scenie w Moskwie.

Wojna Prusko - Francuzka niewyczerpaném stała się źródłem dla historyków. P. Alfred Michiels napisał dzieło w téj materyi.

Z krwawych epizodów oblężenia Paryża, p. Zeneida Fleuriot napisała poemat: Paryżanka pod gromem (Une Parisienne sous la foudre).

pp. JJ. Kraszewski i Aleksander Przeździecki zaproszeni zostali, przez Towarzystwo Archyologiczne w Bolonii, na członków posiedzeń naukowych, w celu zbadania udziału sławian w pracach Wszechnicy Bolońskiéj.

Jedyny obraz zakupiony z Warszawy przez Towarzystwo Zachęty Sztuk pięknych we Lwowie, „w Świetlicy“ Gersona, za 150 guldenów, wygrany został przez jednego z księży Galicyjskich.

Szkice Charakterystyczne.



Nr. 3. Contr-alto.



Nr. 4. Basso głębokie.

Od dozorującego nad koszem Redakcyi.

Panu J. Wolskiemu. Niech się p. J. Wolski, w którymś tam numerze Kuryera Codziennego nie dziwi, że Redakcya Opiekuna Domowego, mając zamiar program tegoż pisma *przetworzyć z gruntu i odświeżyć*, zdecydowała się pomimo tego na drukowanie powieści Julii Kavanagh p. t. „Druga Miłość,“ która to powieść, według chwalebnego dostrzeżenia p. J. Wolskiego, była już umieszczoną w ś. p. „Kółku Domowém,“ — albowiem pomijając nawet okoliczność, że p. J. Wolski za późno, bo dopiéro po zaczepieniu przez nas pisemka, którego jest współpracownikiem, uznał za właściwe ostrzedz Publiczność o grożącém jéj niebezpieczeństwie z czytania w „Opiekunie“ tego, czego w „Kółku Domowém“ zapewne nawet.. nie czytała; — p. J. Wolski nie powinien się nadto dziwić, iż są czasém na ziemi téj rzeczy tyle *świeże i zdrowe*, iż po dwakroć tłómaczone, są cenniejsze jeszcze od innych.. *spoczywających w tece autorów nawet* i że Redakcya chcąca pismo swoje odświeżyć, nie waha się z nich korzystać nawet wtedy, gdy te w piśmie, jak ś. p. „Kółko Domowe,“ posiadające wówczas niewięcéj jak stu czytelników, umieszczone były.

Wnosimy ztąd iż p. J. Wolski wielu jeszcze rzeczom na tym świecie dziwić się będzie!

Panu K. R. z Radomia. Szkoda dla nas, żeś pan korrespondencyą swoją takiemi zapisał hieroglifami, iż nawet.. myszy w koszu przeczytać z niéj nic nie mogą,

Pannie Józefinie. Radzimy w powieściach swoich nie krytykować tak *starych panien*, bo.. kto to wié, co jeszcze być może! a i przeniewierzających się mężatek takze, bo.. kto i to wié, co jeszcze być może!

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 20 Сентября (2 Октября) 1871 г. Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. h.